

– Ach! tak... wiem coś o tem...
 – Musiała i ona wrzucić kamień do tego ogródka, ale tego listu nie pisała... Ma pani może tę szanowną epistolę przy sobie?
 – Nie, mąż mi nie przysłał...
 – Szkoda... Jako pocziarka, widuję ciągle różne charaktery pisma... Może poznałabym... Chociaż, co to właściwie panią odchodzi?...
 – Chciałabym bardzo wiedzieć, bo mąż...
 – Aha! Rozumiem, napisał pani trochę dusersów – po swojemu!... Znam ten jego miły ton, kiedy jest z czegoś niezadowolony!...
 – Panno Tereso!...
 – Chce się pani obrażać, że tego dotykam, tak, bez jedwabnych rękawiczek?!... Ano, jak wola!... Komedyi nigdy nie lubiłam odgrywać!...
 – Widzi pani, jemu tam i matka musiała coś na mnie napisać...
 – Pewnie, że tak było... Nakręciła go, jak starą pozytywkę... Już ona to umie... A ten list bezimienny dopełnił tylko całości...
 – A co?... Co mi pani poradzi zrobić?...
 – Odpisać mężowi prosto, szczerze, otwarcie, a energicznie!... Nie pozwolili sobie nikomu tańczyć po głowie, a o autorkę – bo to napewno autorka – głupiego anonimu, nie troszczyć się wcale i koniecznie!...
 – Żeby to tak można!...
 – Jak się chce, to można!... Tylko trzeba umieć chcieć!... Pani to umie?
 – Nie bardzo.
 – To niech się pani jak najprędzej nauczy.
 – Gdybym to ja mogła – westchnęła Józia, wspierając głowę na ręce – wyjechać choć na kilka dni z tego nieznośnego Łykowa.

ROZDZIAŁ XIII.

– Dowidzenia.
 – Servus, Julek. Idziesz pod „Białego Orła“ na kolację?
 – Nie. Idę do domu. Głowa mnie boli i wcale mi się nie chce jeść.
 – A ja wdepnę do Żarnickich na jaką gozinkę – rzekł Władek Koszczyc.
 – Jakoś często tam zaglądasz. Prawie codziennie – zauważył Łuniewski, strzepując popiół z papierosa na bruk ulicy.
 – No, bo uważasz... jak ci już mówiłem... Lola bardzo miła dziewczyna... I, uważasz, tego... Julian uśmiechnął się pobłaźliwie.
 – Ale uważam, uważam, co się święci... Zaczynasz czuć wolę Bożą do stanu małżeńskiego i kamienicy w rynku...
 – Hm... no, nie wiem jeszcze... Gdyby tak jednak było, miałbyś temu co do zarzucenia?
 – Bynajmniej. Wogóle w takich wypadkach nie mam zwyczaju ani doradzać, ani odradzać. No, bywaj!...
 – Może pójdziesz ze mną? – zaproponował Koszyc.
 Łuniewski jakby się zawahał z odpowiedzią przez króciutką chwilę.
 – Nie. Głowa mnie tak boli, że ledwie wytrzymał w budzie. Idź i baw się dobrze. Słuchajno, a czy... – urwał nagle.
 – Czy co? – zapytał Władek.
 – E! Nic... Głupstwo...
 Koszczyc spojrział na kolegę filuternie. Domyślny uśmiech przebiegł mu po wargach.
 – Aha! Ty pewnie chcesz się dowiedzieć, czy równie często widuję piękną panią Konradową... Nie! Nie widziałem jej ani razu... Pani Żarnicka nie lubi popisywać się synową. Słyszałem tylko raz głos młodej pani. Zdaje się, że klóciła się wówczas z świekrą.
 – Mój kochany, co mnie to może obchodzić? – wrzucił ramionami Łuniewski z obojętnością tak doskonałą, że aż zanadto demonstrował.
 – Mówią, że cię jednak trochę obchodzi?...
 – Co to znaczy mówią? Kto mówi i co? Wyrażaj się nieco ściślej.
 – Słyszałem o jakimś romantycznym spacerze zamiejskim...
 – Ach! Więc to dało kumoszkowi Łykowskiemu powód do plotek, a tobie pobudkę do powtarzania ich. Istotnie spotkałem panią Żarnicką przypadkiem na spacerze...
 – A tak... Przypadkiem... – w głosie Koszczycy zabrzmiał drwiący ton.
 Łuniewski zbliżył się nagle i spojrzawszy wesołemu młodzieńcowi groźnie w oczy.
 – Czy wątpisz o prawdzie moich słów?! – rzucił przez zaciętą zęby.
 Koszczyc cofnął się o krok wstecz.

– Mój Julku, ja ci z kolei odpowiem, że mnie to nic a nic nie obchodzi. Ale nie rób min tak strasznych, bo się nie zlekne... Więc idziesz stanowczo do domu? – dodał swobodnym zupełnie tonem.
 – Tak. Servus.
 – Servus.
 Podali sobie ręce i rozeszli się z uczuciem jakiejś głuchej urazy.
 Koszczyc i Łuniewski znali się zbyt dawno i zbyt dobrze, aby się tak prędko poróżnić mogli.
 Łączyły ich wspomnienia lat dziecińczych, przeżyć szkolnych i uniwersyteckich i wieloletni stosunek jeżeli nie prawdziwej, głębokiej przyjaźni, to w każdym razie szczerzej życzliwości.
 Odmienni bardzo usposobieniem, lubili się jednak serdecznie.
 Teraz Łuniewski był wściekły na kolegę za jego plotkarską domysłność, a Koszczyc czuł się obrażony dziwaczem zachowaniem Łuniewskiego.
 – Czego się rzuca, jak waryat i przedemną robi tajemnicę, że tam coś jest pomiędzy nim a tą Józją?!... Czy to pierwszy raz?!...
 Bo, że między Julianem a młodą mężatką „coś jest“, o tem Koszczyc nie wątpił ani na chwilę.
 Był z tego nawet poniekąd zadowolony, bo mógł mieć pewność, że kolega, którego wyższość nad sobą uznawał, nie będzie z nim rywalizował o posadzoną pannę Żarnicką.
 Co prawda, trochę zazdrościł, niewiele. nieszkodliwie, nienamiętnie, ale zawsze trochę, bo i jemu samemu Józia podobała się.
 – Psiakrew!... królewski kasek ta pani Józia!... Julek ma szczęście! – myślał. – Gdyby to tak... Ale nie „chyci“! Trzeba być solidnym człowiekiem.
 – Ta baba – miał na myśli starszą panią Żarnicką – przez mury widzi i słyszy jak trawa rośnie.
 Koszczyc poważnie myślał o małżeństwie z Lolą. Błada panią podobała mu się, zaimponowała mu nawet swoim dystyngowanym chłodnym ułożeniem, uważał, że doskonale będzie „reprezentować“ panią Koszczycową. Niemniej chętnie poplirtowałby ukradkiem z jej piękną bratową, bez żadnych skrupułów czy wyrzutów sumienia.
 Nie dlatego wcale, aby był zawodowym donżuanem lub zupełnie zepsutym człowiekiem. Przeciwnie. Władek Koszczyc przedstawiał typ, który obdarza się mianem „pocziwego“ chłopca o złotym sercu.
 I był to istotnie dobry chłopiec – tą specjalną łatwą dobrocią, która mało wymaga od innych, a jeszcze mniej od siebie.
 On lubił tylko w lot chwycić każdą przyjemność i nie przywykł analizować swoich postępów.
 Było mu z tem bardzo wygodnie, a że i ludziom było z nim wygodnie, więc nie zamyślał wcale zmieniać linii swego życia.
 Nawet wojna, ta najstraszliwsza z wojen, nie pogłębiła jego światopoglądu, nie nauczyła go patrzeć na życie poważnie.
 Osobiście zresztą wojna dotknęła go mało. Jeść miał co, był „reklamowany“, nikt z jego bliskich nie zginął, nie został kaleką, nie utracił całego mienia.
 Nędzy współczuł, ale rozczulać się nad nią, przejmować się Władek Koszczyc nie miał ochoty ani czasu.
 A że tam cały świat zdaje się walić w gruzy i poruszać w swoich posadach...
 Niech sobie nad tem łamią głowy inni – on filozofować nie lubi...
 Żył jak zwykle, pozostał sobą, wesołym, pocziwym, lekkomyślnym chłopcem, ze sporą dozą sybarytyzmu w charakterze.
 Pani Żarnicka doskonale wyczuła go i określiła, że jest to trochę urwisz chłopak, ale będzie go można okiełznać!...
 Tak jak okiełznać można młodego, rozbrykanego konia, któremu pachnie ciepła stajnia i pełny żłób...
 Władek Koszczyc zdążył do kamienicy Żarnickich, pogwizdując. Był poirytowany na Łuniewskiego, ale nie tak znów bardzo, aby mu to miało psuć humor lub odbierać apetyt.
 Łuniewski tymczasem szedł zwolna główną aleją miejskiego ogrodu. Palił papierosa za papierosem, co było u niego oznaką silnego nerwowego podrażnienia.
 Między brwiami utworzyła mu się cienka zmarszczka.

Myślał o tem, że już od kilku dni nie widział Józii. Naprawdę, drwiąc sam z siebie, krążył jak student koło kamienicy Żarnickich.
 Naprawdę upafrzawał uroczej twarzy młodej kobiety na ulicy, w kościele, w miejskim ogrodzie. Józii nie było.
 – Pewnie jej wychodzić nie pozwolą te wściekle baby!... – pisał się wewnątrz z gniewu na Żarnicką i jej córkę. – Więź ją! Tego cudnego, wolnego ptaka!...
 – Józia!... Józia!... – powtarzał sobie, jak oszalały, upajając się dźwiękiem jej imienia.
 Paląca, dzika, niepohamowana tęsknota szarpała nim. Czuł, że musi Józję zobaczyć, musi z nią mówić, bo inaczej gotów jest popełnić coś zupełnie nieobliczalnego.
 I teraz, pozbywszy się towarzystwa Władka, szedł powoli, rozglądał się uważnie, spodziewając się, że przecież może, może ją spotka.
 Nagle drgnął. Krew szumiącą falą popędziła mu do głowy.
 Zdawało mu się, że na zakręcie alei spostrzegł Józję.
 Przyspieszył kroku, biegł prawie, nie zważając, że ten i ów z przechodniów ogląda się za nim.
 Zadyszany dogonił zgrabną, jasną postać niewieściami po to, aby się przekonać, że to jest jakaś bardzo przystojna panienka, ale bynajmniej nie Józia.
 Ładne stworzenie uśmiechnęło się zalotnie, ale Łuniewski rzucił spojrzenie tak pełne złości, że panienka zmieszana się i zaczęła się szybko oddalać.
 – Dureń jestem ostatni!... W głowie mi się chyba miesza!... – wymyślał sobie Łuniewski. – Jak ja się mogłem omylić!... Czyż może być tutaj druga kobieta, która by miała jej linię, jej ruchy!...
 Zirykowany wyszedł z ogrodu i skierował się znowu w labirynt wązkich, dusznych ulic, o brukach rozpalonych żarem słonecznym.
 Bezmyślnie zatrzymał się przed wystawą jakiegoś marnego sklepu bławno-galanterijnego, tak że przechodniom mogło się zdawać, iż ogląda feston z szafirowego perkalu, zwój różnokolorowych wstążek, pasiaste chustki do nosa i skarpetki zielone i czerwone w białe paski.
 Wtem z bramy pobliskiego domu wysunęła się kobieta, ubrana w biały kapelusz, białą batystową bluzkę i granatową spódnicę, z wązkim czarnym lakierowym paskiem.
 Szła prosto ku Łuniewskiemu równym, spieszonym krokiem. Zobaczył ją i uderzyła w niego fala naglej radości.
 Poznał Józję.
 Tym razem była to rzeczywiście ona.
 Józia wracała od Larchówny błada trochę, smutna i tak zamyślona, że przechodząc potrafiła lekko Łuniewskiego, a nie spostrzegła go.
 Julian szybko zerwał kapelusz z głowy.
 – Dzień dobry pani.
 Drgnęła i podniosła głowę.
 – Dzień dobry. – Brzmiało to bardzo chłodno i obojętnie.
 Józia jakby niechętnie podała rękę i zaraz ją cofnęła z dłoni mężczyzny. Nie patrzyła przytem na niego i usta miała zaciśnięte.
 – Dokądże pani dąży?
 – Do domu.
 – Odprowadzę panią.
 Nie pytał, czy pozwoli się odprowadzić – pewnym siebie tonem decydował!
 Józia nie odpowiedziała i spojrzała na szybę wystawową.
 – Dziękuję, ale nie mogę z pańskiej uprzejmości skorzystać – powiedziała jeszcze bardziej chłodno – muszę wstąpić do tego sklepu...
 – Poczekam na panią.
 – O! niech się pan nie trudzi. Ja mam dużo sprawunków. Zabawię tutaj długo.
 Zrozumiał, że chce się go pozbyć, ale nie miał zamiaru ustąpić.
 Uśmiechnął się ironicznie.
 – No, tak zanadto długo to znowu nie, bo o siódmej zamykają sklep.
 Nie zmieszana się wcale. Spojrzała mu w oczy śmiało, prosto, uczciwie, bez cienia swojej zwykłej zalotności i figlarności.
 – Wszystko jedno. Proszę pana bardzo, aby pan nie czekał – powiedziała spokojnie, ale z taką stanowczością, jakiej jeszcze nigdy w jej głosie nie zasłyszał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)